Handel jako organ historii: ewolucja i ryzyka wymiany

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Handel to coś więcej niż wymiana towarów; to fundamentalny proces, który ukształtował ludzką cywilizację, pełniąc rolę jej układu nerwowego. Artykuł analizuje tezę, według której rozwój instytucji, moralności i technologii jest wtórny wobec pierwotnej potrzeby transakcyjnej człowieka. Autor przygląda się ewolucji metod obniżania tarcia rynkowego – od wykorzystania energii zwierząt po nowoczesną infrastrukturę zaufania. Kluczowym elementem rozważań jest analiza współczesnych ryzyk systemowych. Gęsta sieć globalnych zależności, choć efektywna, tworzy niebezpieczne punkty dławienia i podatność na ryzyka kaskadowe. Tekst rzuca nowe światło na bezpieczeństwo surowcowe i legitymizację społeczną systemów gospodarczych, ostrzegając przed kruchością struktur pozbawionych solidnych fundamentów instytucjonalnych. To głębokie spojrzenie na handel jako siłę napędową historii i źródło współczesnych wyzwań geopolitycznych.

Trade is more than just the exchange of goods; it is a fundamental process that has shaped human civilization, serving as its nervous system. This article examines the thesis that the development of institutions, morality, and technology is secondary to humanity's primary need for transactional activity. The author examines the evolution of methods for reducing market friction—from harnessing animal energy to the modern infrastructure of trust. A key element of this discussion is the analysis of contemporary systemic risks. The dense network of global interdependencies, while effective, creates dangerous choke points and vulnerability to cascading risks. The text sheds new light on resource security and the social legitimacy of economic systems, warning against the fragility of structures without solid institutional foundations. This is a profound look at trade as a driving force in history and a source of contemporary geopolitical challenges.

William Bernstein w swojej analizie handlu wywraca do góry nogami tradycyjne postrzeganie historii, ukazując go nie jako dodatek do rozwoju cywilizacyjnego, lecz jako jego fundamentalny mechanizm i układ nerwowy. Handel, rozumiany jako forma życia i sieć transakcji, kształtuje instytucje, moralność i konflikty, a spór o niego staje się pytaniem o warunki koordynacji działań w skali globalnej. Od prehistorycznych wymian obsydianu po współczesne łańcuchy dostaw, handel nieustannie oscyluje między generowaniem dobrobytu a skalowaniem ryzyka. Kluczową kwestią staje się zatem cywilizowanie handlu poprzez obniżanie kosztów transakcyjnych i tworzenie instytucji, które neutralizują przemoc i zapewniają bezpieczeństwo. Globalizacja, będąca konsekwencją technologii, energii i instytucji, wymaga selektywnej przepuszczalności, by nie stać się systemem przewodzącym impulsy prowadzące do zapaści. Uznanie, legitymizacja i kompensacja strat przegranych są warunkami przetrwania wolnego handlu. W efekcie, kluczowe pytanie brzmi: jaką formę handlu jesteśmy w stanie ucywilizować bez ryzyka autodestrukcji?

SŁOWA KLUCZOWE

handel jako organ historii | ewolucja wymiany | koszt transakcyjny | punkt dławienia | kruchość systemowa | globalne łańcuchy dostaw | technologia obniżania tarcia | bezpieczeństwo surowcowe | legitymizacja społeczna | zwierzę transakcyjne | Pax Romana | ryzyko kaskadowe | mechanizm koordynacji | infrastruktura zaufania | single point of failure

Handel: pierwotny napęd cywilizacji i innowacji

Łatwo ulec pokusie, by traktować handel jako późny wynalazek cywilizacji: dodatek do rolnictwa, pismo do księgowości, port do miasta, giełdę do państwa. W wizji, jaka wyłania się z prac Williama Bernsteina, ta pokusa zostaje odwrócona. Handel nie jest tu ornamentem historii, lecz jej kluczowym narządem, a w pewnym sensie nawet układem nerwowym. Nie tyle „wynika” z rozwoju, ile sam jest jego mechanizmem, który dopiero wtórnie zastyga w formę instytucji, doktryn, moralności i wojen. Jeśli zgadzamy się, że człowiek jest zwierzęciem językowym, to uczciwość wobec danych archeologicznych i antropologicznych zmusza nas do przyznania, że jest on również zwierzęciem transakcyjnym: zdolnym do zaciągania zobowiązań, rozpoznawania ekwiwalentów i podtrzymywania wymiany poza horyzontem natychmiastowej przemocy.

To przesunięcie akcentu nie jest niewinne. Jeśli handel jest „formą życia” – strukturą praktyk, które powielają się przez naśladownictwo, normy i sankcje – to spór o niego przestaje być techniczną debatą o polityce gospodarczej. Staje się fundamentalnym pytaniem o warunki koordynacji działań w skali, która przekracza wspólnotę twarzą w twarz. Wtedy protekcjonizm i wolny handel przestają być tylko programami partyjnymi; stają się dwiema odmianami lęku. Pierwsza lęka się obcości, druga – stagnacji. Dopiero na tym tle widać, dlaczego opowieść Bernsteina jest tak konsekwentnie ambiwalentna: potrafi on bronić handlu jako generatora dobrobytu, a równocześnie wplatać w nią Czarną Śmierć, niewolnictwo, wojny o przyprawy i współczesne „wąskie gardła” globalnych łańcuchów dostaw.

Zacznijmy więc od prehistorii, bo to ona odbiera współczesnym moralistom ich wygodne złudzenie, że „handel zepsuł świat”. Skoro towarzyszy on człowiekowi od dziesiątek tysięcy lat, to właściwe pytanie nie brzmi: „czy handel jest dobry?”, lecz: „jaką postać handlu jesteśmy w stanie ucywilizować bez ryzyka autodestrukcji?”.

W prehistorycznych znaleziskach handel odsłania się przez surowce, które są jednocześnie banalne i zdradliwe: obsydian, narzędzia kamienne, ozdoby, nadwyżki zboża. Ten repertuar jest ważny nie dlatego, że przypomina współczesny katalog towarów, ale dlatego, że ujawnia fundamentalny mechanizm. Tam, gdzie powstaje różnica zasobów, tam rodzi się bodziec do wymiany. A tam, gdzie pojawia się bodziec do wymiany, tam natychmiast wyrasta problem bezpieczeństwa, zaufania i egzekwowania umów. Innymi słowy, zanim powstała „ekonomia”, narodził się jej problem prawny i moralny, choć jeszcze nie w formie kodeksu, lecz zwyczaju, reputacji i ryzyka zasadzki. Prehistoryczne targowiska na wyspach rzecznych nie są etnograficzną ciekawostką. Są wczesnym świadectwem tego, że wymiana wymaga zneutralizowania przemocy przez przestrzeń, rytuał i powtarzalność. Kto tego nie rozumie, będzie zaskoczony, że nowoczesne rynki finansowe również budują „wyspy” – tyle że nurt rzeki zastąpiły clearing, depozyt zabezpieczający i nadzór.

Koszty transakcyjne: od więzi plemiennych do kontraktów

Tu właśnie należy wprowadzić pojęcie kosztu transakcyjnego, rozumianego nie jako potoczna „opłata”, lecz jako suma wysiłków włożonych w wyszukanie informacji, negocjacje i egzekwowanie umowy. W prehistorii kosztem tym była strata czasu, ryzyko śmierci czy konieczność budowania reputacji w niepewnej sieci kontaktów. We współczesności dochodzi do tego zgodność z regulacjami, ryzyko sankcji, cena kapitału i koszt technologicznej kompatybilności. Zmienia się

aparat, lecz nie zmienia się zasada: handel zawsze jest próbą obniżenia tarcia, a obniżenie tarcia nieuchronnie tworzy nowe kanały przenoszenia ryzyka.

Bernstein prowadzi tę intuicję przez starożytność w sposób, który dla współczesnego biznesu powinien być zawstydzający. Pokazuje, że globalizacja nie jest stanem, lecz falą, a fala ta nie jest retoryczną metaforą, tylko twardą konsekwencją technologii, energii i instytucji. Sumer i Mezopotamia jawią się jako pierwszy przypadek handlu strategicznego z prostej przyczyny: nadwyżki żywności bez dostępu do surowców krytycznych rodzą konieczność importu metali, kamienia i drewna. To, co dziś nazywamy „bezpieczeństwem surowcowym", w starożytności miało postać spławianej rzeką miedzi i ciągłego ryzyka zerwania dostaw. Słynna skarga na niską jakość kruszcu – w źródłach związana z kupcem Ea-nasirem – działa tu jak prymitywny, ale genialny protokół reklamacyjny. Nawet bez sądu istnieje roszczenie do normatywnej słuszności wymiany, czyli do tego, by rzecz odpowiadała deklaracji. Kto chce widzieć w historii handlu tylko zysk, ten przegapia fakt, że od samego początku jest on także walką o standardy, informację i odpowiedzialność za jakość.

W Egipcie problem przybiera postać infrastruktury, której nie da się wytworzyć lokalnie. Jeśli brakuje drewna odpornego na gnicie, a flota jest warunkiem dalekich wypraw, to import przestaje być luksusem, a staje się egzystencjalną funkcją państwa. Fenicjanie, z ich drewnem cedrowym i strategicznym położeniem, uczą czegoś jeszcze: przewaga handlowa jest często przewagą materiałową i logistyczną, zanim w ogóle stanie się przewagą militarną. To twarda lekcja dla współczesnych strategów „soft power" – miękkość wpływu bywa skutkiem tego, że ktoś wcześniej zbudował bardzo twardą infrastrukturę.

Grecy wprowadzają do tej opowieści pojęcie punktu dławienia w sensie polityczno-morskim, czyli wąskich gardeł determinujących przetrwanie polis zależnych od importu zboża. Hellespont i Bosfor nie są w tej narracji geograficznymi detalami, lecz pierwowzorami tego, co dzisiejszy biznes nazywa „single point of failure" – pojedynczym punktem awarii. Jeśli Ateny budują „Długie Mury", to nie wznoszą zabytku, lecz urządzenie do utrzymania ciągłości dostaw w warunkach oblężenia. Zwróćmy uwagę na logikę: handel generuje zależność, zależność rodzi potrzebę ochrony, a ochrona tworzy państwo. Tę triadę można przyłożyć do współczesności bez zmiany sensu. Globalne łańcuchy dostaw generują zależność od logistyki, ta z kolei rodzi potrzebę odporności, a odporność stymuluje politykę przemysłową, regulacje, a czasem protekcjonizm lub militaryzację szlaków.

Rzym, ze swoją Pax Romana, dopowiada tezę niemal aforystyczną: stabilne państwa są państwami handlowymi. Nie dlatego, że kochają handel, lecz dlatego, że porządek publiczny drastycznie obniża koszty transakcyjne, a to otwiera przestrzeń dla konwergencji cen i pogłębiania specjalizacji. W tym miejscu

Magazyny i szlaki: starożytne strategie surowcowe

Gdyby z całej opowieści Bernsteina miało zostać jedno, żelazne twierdzenie, które obroni się i przed akademickim sceptykiem, i przed cynikiem z zarządu, brzmiałoby ono tak: handel jest techniką cywilizacyjną, bo tworzy nadwyżkę, ale zarazem techniką katastroficzną, bo potrafi skalować skutki błędu. Im sprawniej usuwa tarcie, tym mocniej przenosi ciężar bezpieczeństwa z natury na instytucje – na prawo, organizację, procedury i moralno-polityczną zgodę na ich istnienie. Jeśli potrafimy ten ciężar unieść, globalizacja działa jak układ krwionośny planety. Jeśli jednak uciekamy od kosztów instytucjonalnych, staje się systemem nerwowym przewodzącym impulsy, które prowadzą prosto do zapaści. To nie jest pusta metafora. To formalna zasada: redukcja tarcia zwiększa potrzebę regulacji selektywnej przepuszczalności.

Warto zacząć od pojęcia kruchości, rozumianej nie potocznie jako słabość, lecz systemowo: jako podatność na kaskadowe awarie w gęstej sieci zależności, gdzie lokalne zakłócenie może wywołać globalny wstrząs. Dzieje się tak, ponieważ brakuje barier, redundancji i procedur awaryjnych. Kruchość jest więc funkcją topologii sieci, a nie złych intencji jej uczestników. To właśnie w tym punkcie analiza Bernsteina jest najsilniejsza. Jego historia czarnej śmierci, punktów dławienia, kompanii handlowych jako maszyn wojenno-logistycznych, telegrafu jako synchronizatora cen i kontenera jako akceleratora masowości jest w istocie opowieścią o narastaniu sprzężenia zwrotnego. Nawet prehistoryczny handel obsydianem nie jest w tej optyce romantycznym początkiem wymiany, lecz narodzinami myślenia sieciowego. Rzadki surowiec tworzy ścieżki zależności, a te z kolei wymuszają nową politykę bezpieczeństwa. Wielbłąd, koń, świnia-konkwistador, szczur i pchła nie są tu tylko zwierzętami z podręcznika historii; są nośnikami energii i transmisji, a więc elementami infrastruktury, zanim jeszcze wymyślono to słowo.

Sama teoria kruchości to jednak za mało, bo sprowadza świat do mechaniki sieci, a człowieka do roli węzła. Druga oś analizy musi więc dotyczyć legitymizacji, czyli społecznych warunków uznania: kiedy dana praktyka jest prawomocna, a kiedy staje się obiektem buntu, protekcjonistycznej furii i politycznej przemocy. Bernstein, pisząc o konieczności kompensowania strat przegranych, dotyka sedna sprawy. Wolny handel nie upada wtedy, gdy przestaje „działać” w sensie statystycznych agregatów, lecz wtedy, gdy przestaje być uznawany za słuszny. To rozróżnienie jest kluczowe, bo tłumaczy paradoks naszych czasów: można mieć wzrost gospodarczy i jednocześnie toczyć wojnę polityczną o handel. W praktyce legitymizacja opiera się na trzech filarach. Po pierwsze, na warstwie poznawczej: czy ludzie wierzą, że handel przynosi im korzyści, czy też postrzegają go jako grę o sumie zerowej. Po drugie, na warstwie normatywnej: czy uznają podział zysków i kosztów za akceptowalny, a mechanizmy rekompensat za realne, a nie tylko deklarowane. Po trzecie, na

warstwie autentyczności: czy dyskurs o otwartości nie jest jedynie maską dla rentierów i przerzucania ryzyka.

Czas na bezkompromisową polemikę z głównymi tezami, przy całym szacunku dla ich intelektualnej wagi. Zacznijmy od twierdzenia, że handel „cywilizuje". W wersji miękkiej jest ono prawdziwe: handel sprzyja specjalizacji, dyfuzji technologii i tworzeniu standardów, a więc pośrednio buduje instytucje zaufania. W wersji t

Zwierzęta: biologiczne silniki dawnych szlaków

Tu wchodzimy w kluczowy wątek technologii i zwierząt, który nie jest ozdobą, lecz spoiwem całej opowieści. Zwierzęta są w niej tym, czym później stały się para i ropa, a dziś — prąd i dane: nośnikami energii, które determinują możliwy zasięg i masę transportu. Wielbłąd jako „Land Rover" pustyni nie jest literackim żartem, lecz trzeźwym rozpoznaniem, że pewien typ środowiska wymaga pewnego typu „silnika". Gdy ten silnik się pojawia, powstaje rynek, który wcześniej nie mógł zaistnieć. Siodło, strzemię, hybrydy wielbłądzie na Jedwabnym Szlaku — to wszystko są, w ścisłym sensie, technologie obniżania tarcia. Podobnie jak żelazne gwoździe spajające kadłuby, wodoszczelne grodzie chińskich dżonek, kompas i chronometr. Bernstein ma tu intuicję, której nie wolno spłycić: globalizacja jest funkcją energii, materiału i informacji, a więc ma swój techniczny „metabolizm", od którego zależy skala wymiany.

Wątek ten ma jednak swoją mroczną stronę, bo zwierzęta to również wektory patogenów. Szczury i pchły, „hotele dla pcheł" w grzywach koni, mobilność niewidzialnych rezerwuarów zarazy — wszystko to przygotowuje grunt pod Czarną Śmierć, a tym samym pod pierwszą wielką polemikę. Dominująca, konformistyczna narracja nowoczesności brzmi bowiem mniej więcej tak: handel jest z natury moralnie dodatni, a jego ciemne strony to „wypadki przy pracy", przejściowy koszt uczenia się. Bernstein — i na tym polega jego intelektualna uczciwość — nie pozwala na takie uspokojenie sumienia. W jego ujęciu epidemia nie jest wypadkiem, lecz nieuchronną konsekwencją: jeśli budujesz sieć, budujesz także kanał transmisji. Handel nie tylko rozprasza ryzyko; on je również synchronizuje. Ta synchronizacja jest błogosławieństwem dla cen i przekleństwem dla chorób.

Co istotne, intuicja Bernsteina została w XXI wieku przetworzona na język „ryzyk systemowych" i „kaskad". Biznes, zwłaszcza po pandemii i serii zaburzeń logistycznych, mówi dziś o odporności łańcuchów dostaw w sposób, który brzmi jak spóźniona parafraza średniowiecznego doświadczenia. Sieć, która maksymalizuje efektywność, minimalizuje jednocześnie margines błędu. Wystarczy zauważyć, że według UNCTAD transport morski przenosi ponad 80 procent światowego handlu towarowego, co czyni globalizację wprost zależną od kilku strategicznych korytarzy i

stabilności żeglugi. Współczesna „nauka o łańcuchach dostaw” nie unieważnia Bernsteina; ona go uwspółcześnia, ubierając jego historyczną opowieść w metryki, scenariusze i język zarządzania.

Nie znaczy to jednak, że powinniśmy bezkrytycznie przyklasnąć każdej tezie. Polemika jest tu konieczna, inaczej wpadniemy w hagiografię handlu: w opowieść, w której wszystko, co złe, jest „anomalią”, a wszystko, co dobre, jest „naturą”. Istnieje wszak druga skrajność, którą warto dziś uczciwie postawić na stole — ta, wedle której handel jako taki jest narzędziem dominacji, a globalizacja jedynie maską dla przemocy strukturalnej. To stanowisko, obecne w części literatury krytycznej, redukuje handel do imperializmu, nie widząc jego autonomicznej roli w tworzeniu innowacji czy dyfuzji technologii. Jest to redukcja intelektualnie kusząca, bo moralnie czytelna, i dlatego szczególnie niebezpieczna. Moralna czytelność bywa bowiem zaproszeniem do uproszczenia. Bernstein — i tu warto go bronić — nie pozwala na tę redukcję właśnie dlatego, że pokazuje handel w długim trwaniu, zanim Zach

Islam: religijny kodeks standaryzujący wymianę

W tej perspektywie Jedwabny Szlak staje się lekcją pokory. Jego legenda w kulturze popularnej maluje obraz płynnego korytarza, którym suną luksusy, podczas gdy historia pokazuje raczej sztafetę pośredników, mozolną logistykę kosztów, czasu i ryzyka. I tu właśnie pojawia się wątek kluczowy dla zrozumienia islamu jako „religii handlu”: jeśli wymiana lądowa jest powolna, droga i niebezpieczna, to każda stabilizacja norm, każdy wspólny język prawa, każdy instytucjonalny parasol działa jak reduktor tarcia. Religia może stać się technologią zaufania, a prawo – moralnością, która ma swój twardy, pieniężny wymiar.

Islam jawi się tu nie jako duchowy ornament, lecz jako potężna infrastruktura koordynacji, system operacyjny dla handlu rozpiętego na trzech kontynentach. Jest to teza, która w świecie naukowym budzi ambiwalencję: jedni chwalą jej heurystyczną moc, inni ostrzegają przed ryzykiem ekonomicznego redukcjonizmu. Trzeba więc rozdzielić dwa poziomy. Pierwszy jest empiryczny: kupieckie korzenie wczesnej wspólnoty, rola karawan, ujednolicenie norm prawnych i etycznych – wszystko to fakty, które dowodzą, że wspólnota wiary tworzy wspólnotę zaufania. Drugi poziom jest interpretacyjny: czy z tego wynika, że islam „jest” religią handlu w sensie esencji, czy tylko pełnił taką historyczną funkcję? Zwolennicy tezy idą mocno w stronę istoty, bo ich narracja kocha spójność; krytyk powie: „Uważaj, religie są wielofunkcyjne, a handel bywa tylko jednym z wehikułów ich ekspansji”.

Nie wolno jednak przeoczyć sedna tego argumentu: jednolity system normatywny, nawet jeśli wywiedziony z teologii, radykalnie obniża koszty transakcyjne. Kiedy mówimy, że prawo handlowe

tworzy przewidywalność, mówimy w istocie, że redukuje ryzyko sporów o fundamentalne zasady gry. To właśnie jest sens odniesień do zakazu oszukiwania, obowiązku ujawnienia wad produktu czy zasad odstąpienia od umowy. Można się spierać, czy to „duch islamu", czy „praktyka kupców", ale nie da się zaprzeczyć, że religijnie ugruntowana etyka mogła działać jak międzynarodowy standard uczciwości na długo przedtem, zanim pojawiły się nowoczesne państwa i ich aparaty przymusu.

Teraz wykonajmy drugi, polemiczny krok. Współczesny biznes, zwłaszcza w epoce „fragmentacji geopolitycznej", gorączkowo szuka substytutów dla uniwersalnego zaufania. Mówi o friend-shoringu, czyli przenoszeniu produkcji do krajów zaprzyjaźnionych, o nearshoringu, czyli skracaniu łańcuchów dostaw, i o dywersyfikacji ryzyka politycznego. Międzynarodowy Fundusz Walutowy wprost analizuje koszty deriskingu, traktując go jako racjonalną odpowiedź na niestabilność. Parlament Europejski opisuje spowolnienie integracji jako slowbalizację – zjawisko, w którym handel nie znika, lecz traci impet i zmienia geometrię. WTO z kolei przesuwa akcent z prostego „więcej globalizacji" na reglobalizację, rozumianą jako przebudowę globalnych sieci pod kątem odporności, a nie tylko najniższej ceny.

Jeśli więc islam był kiedyś protokołem interoperacyjności dla świata handlu, to dzisiejszy świat, paradoksalnie, wraca do tego samego pytania o protokół. Tyle że już nie teologiczny, lecz geopolityczny: kto jest „nasz", a kto jest „ryzykiem". Ta analogia jest celowo drażniąca. Współczesność, która lubi uważać się za racjonalną, odtwarza archaiczne mechanizmy rozróżniania wspólnoty i obcości, tyle że zamiast

Epidemie: wektor chorób i test odporności sieci

Załóżmy, że handel jest praktyką, której celem jest redukcja tarcia w wymianie. Jeśli jednak na tym poprzestaniemy, cała narracja grzęźnie w liberalnym sentymentalizmie. Trzeba bowiem dodać brutalny warunek brzegowy: mniejsze tarcie to nie tylko tańszy transport i zbieżne ceny. To także krótszy czas dyfuzji zagrożeń, szybsza synchronizacja wstrząsów i gładka powierzchnia transmisyjna dla zjawisk, które kpią sobie z granic jurysdykcji. W tym świetle Czarna Śmierć, którą Bernstein trafnie nazywa „chorobą handlu", przestaje być epidemiologiczną dygresją. Staje się momentem prawdy, który obnaża ukryte założenie globalizacji: sieć, jako architektura powiązań, jest aksjologicznie obojętna. Z tą samą proceduralną beznamiętnością przenosi dobrobyt i śmierć.

Biologiczne mechanizmy, które łączą rezerwuary zwierzęce, pchły, szczury i ludzkie osady, działają tu jako doskonały analogon współczesnej cyberepidemiologii. Patogen nie wykorzystuje bowiem intencji, lecz topologię sieci. Skoro szczur śniady jest zwierzęciem komensalnym, a pchła z

łatwością przetrwa w sierści, ładunku czy na pokładzie statku, to handel nie tyle „przynosi” zarazę, ile stwarza warunki jej skalowalności. Bernstein ma więc rację, gdy przedstawia epidemię jako skutek przekroczenia progu gęstości połączeń. A jednak w tej racji kryje się pole do bezlitosnej polemiki: nie każda sieć jest równie ryzykowna. Ryzyko jest funkcją nie tylko gęstości, lecz także segmentacji, redundancji oraz instytucjonalnej zręczności w tworzeniu procedur separacji — tego, co dziś nazywamy kwarantanną, kontrolą sanitarną i regulacją mobilności. Innymi słowy, Bernstein trafnie diagnozuje fatalność sieci, ale nie docenia faktu, że cywilizacja — jeśli ma na to miano zasługiwać — jest sztuką tworzenia selektywnej przepuszczalności, a nie naiwnym otwieraniem bram.

Z tej perspektywy historia dwóch aktów dżumy — Justyniana i tej z XIV wieku — jest nie tyle opowieścią o demografii, ile o regulacji kontaktu. Uwagę przykuwa teza o „muzułmańskiej kwarantannie”, będącej ubocznym skutkiem zerwania szlaków handlowych między Europą a Azją, a następnie teza o powrocie zarazy wraz z reintegracją Jedwabnego Szlaku pod panowaniem Mongołów. W obu przypadkach chodzi o to samo: stabilność polityczna, która sprzyja handlowi, może jednocześnie sprzyjać transmisji zagrożeń. Dla współczesnego biznesu to niewygodna lekcja, podważająca aksjomat, że „stabilność” jest zawsze dobrem. Stabilność sieci może bowiem oznaczać stabilność katastrofy, jeśli brakuje w niej mechanizmów rozpraszania ryzyka.

Książka sama prowokuje tu krótką przypowieść. Wyobraźmy sobie kupca, który świętuje nową ciągłość szlaku: mniej napadów, mniej haraczy, mniej niepewności. Tę samą ciągłość świętuje patogen: mniej przerw, mniej barier, mniej ślepych zaułków. Kupiec, w swojej logice, mówi: „świat stał się mniejszy”. Patogen, w logice biologii, odpowiada: „świat stał się bliższy”. I dopiero w tej dwugłosowości widać, że modernizacja łączy, ale sama w sobie nie rozstrzyga, co właściwie jest łączone.

Jeśli Jedwabny Szlak jest u Bernsteina sztafetą pośredników, kosztów i ryzyk, to trzeba dodać, że jest zarazem mechanizmem produkcji iluzji. W kulturze europejskiej funkcjonuje jako romantyczny obraz wymiany, podczas gdy w praktyce był infrastrukturą,

Kompanie handlowe: monopol na przemoc i zysk

Zanim jednak na scenę wkroczą giganci, musimy odnotować kluczowy zwrot w historii handlu: moment, w którym przedsiębiorczość z osobistego gestu zmienia się w bezosobową maszynę. Francis Drake jest w tej opowieści figurą przejściową – bohaterem narodowym, którego zysk pochodzi z „państwowego piractwa”, gdzie przemoc zyskuje państwową licencję i staje się częścią racji stanu. I tu właśnie zaczyna się najbardziej drażliwa część tej historii. Wczesnonowożytna

globalizacja nie była bowiem niewinnym „rozszerzeniem rynku", lecz brutalnym sprzężeniem finansów, wojny i administracji w jedną, odporną platformę, zdolną przetrwać śmierć założycieli i utratę statków. Holenderska i Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska (VOC i EIC) to w tej narracji pierwsze „systemy operacyjne" globalnego kapitalizmu, wprowadzające stały kapitał, rozproszone ryzyko i handel ułamkowymi udziałami, a zarazem prywatne armie, monopol i logikę, w której wojna jest po prostu narzędziem kontroli przepływu towarów.

Warto się tu zatrzymać, by uderzyć w konformizm współczesnego dyskursu korporacyjnego. Dzisiejszy świat biznesu lubi przedstawiać korporację jako byt neutralny: wehikuł efektywnej alokacji zasobów, maszynę do generowania produktywności, obiekt ładu korporacyjnego. Bernstein, analizując VOC i EIC, obnaża genealogiczną nieprzyzwoitość tej rzekomej neutralności. Korporacja od samego początku była bowiem narzędziem, które pozwalało przekształcić przemoc z krwawego wydarzenia w chłodną procedurę, z rabunku w pozycję w bilansie, z wojny w dywidendę dla akcjonariuszy. To nie jest moralizatorstwo, lecz diagnoza strukturalna. Jeśli instytucja potrafi rozproszyć odpowiedzialność pomiędzy udziałowców, menedżerów, żołnierzy i urzędników, tworzy przestrzeń, w której rodzi się zło bez twarzy, zło zgodne z procedurą.

Słynne słowa Jana Pieterszoona Coena, gubernatora generalnego VOC, że handel nie może istnieć bez wojny, a wojna bez handlu, nie są w tym kontekście ozdobnikiem, lecz definicją całego paradygmatu. Skrajna teza, którą trzeba tu uczciwie postawić, brzmi: globalizacja jest w swojej istocie wojną prowadzoną innymi środkami, a wolny handel to jedynie maska dla dominacji. Taka interpretacja jest atrakcyjna dla krytyków, bo porządkuje świat w prostych kategoriach moralnych, ale jest też fałszywa jako teoria wszystkiego. Ignoruje bowiem długie trwanie wymiany handlowej sprzed epoki europejskiej hegemonii oraz fakt, że handel bywał również narzędziem koegzystencji i pokojowej dyfuzji technologii. Problem leży gdzie indziej: handel sprzężony z monopolem przestaje być wymianą równych stron, a staje się mechanizmem ekstrakcji. A korporacja, gdy otrzymuje uprawnienia quasi-państwowe, przestaje być przedsiębiorstwem, a staje się suwerenem w przebraniu księgowego.

Trójkąt atlantycki: mechanizm handlu ludźmi

Każda uczciwa opowieść o globalizacji musi w końcu dotknąć transatlantyckiego handlu niewolnikami, inaczej grozi jej estetyzacja i fałsz. Bernstein w książce wykonuje tu kluczowy ruch metodologiczny: odmawia traktowania niewolnictwa jako „moralnej aberracji", wypadku przy pracy oderwanego od logiki ekonomii. Zamiast tego pokazuje je jako integralny element systemu plantacyjnego, którego paliwem był cukier, a człowiek stawał się jedynie nośnikiem energii,

przeliczalnym na koszt zakupu i utrzymania. Opis mechanizmu pozyskiwania niewolników, roli lokalnych watażków, pośredników i towarów wymiennych, wreszcie warunków Middle Passage i demograficznej skali procederu nie jest tu inwentaryzacją okrucieństw dla samego szoku. To dowód w sprawie o urzeczowienie osoby: człowiek zostaje włączony do obiegu jako towar, a więc obiekt prawa własności, który można zastawić, ubezpieczyć, sprzedać i precyzyjnie wycenić.

Polemika z tą historią jest nieunikniona, ale jej ostrze musi być precyzyjne, by nie stępić się w taniej moralnej wyższości. Skrajne stanowisko apologetyczne, powracające czasem w formie intelektualnego półszeptu, głosi: „Takie były czasy, gospodarka potrzebowała rąk do pracy, bez tego nie byłoby rozwoju". Jest to teza nie do obrony, ponieważ myli opis brutalnego mechanizmu z jego normatywnym usprawiedliwieniem, a przy tym ignoruje rzecz kluczową: niewolnictwo nie było „pracą", lecz prawną konstrukcją anihilacji podmiotowości. Z kolei skrajność przeciwna, popularna w pewnych odłamach krytyki, twierdzi, że „kapitalizm jest z definicji niewolnictwem w nowej odsłonie". To również jest poznawcze lenistwo, totalizacja rozmywająca fundamentalne różnice między wyzyskiem a prawnym posiadaniem drugiego człowieka. Prawda jest trudniejsza: globalny handel okazał się historycznie kompatybilny zarówno z instytucjami emancypacji, jak i z instytucjami uprzedmiotowienia. O tym, która siła zwycięża, decyduje nie abstrakcyjny „rynek", lecz konkretny reżim prawny, zdolność polityczna do narzucenia norm i wreszcie presja moralna zdolna przekuć się w legislację.

I tu właśnie na scenę wkraczają finanse, których rolę Bernstein jedynie sygnalizuje, mówiąc o udziałowcach Royal African Company, papierach wartościowych i rozpraszaniu ryzyka. Dla współczesnego prawnika czy finansisty to genealogia głęboko niewygodna: instrumenty, które dziś kojarzymy z racjonalnością rynków, rodziły się i dojrzewały w świecie, gdzie zabezpieczeniem kredytu był człowiek. Właśnie dlatego dzisiejsza debata o ESG, odpowiedzialności w łańcuchach dostaw czy należytej staranności w zakresie praw człowieka nie jest fanaberią moralistów, jak chciałaby część biznesu. To spóźniony powrót wypartych kosztów do bilansu. Biznes może udawać, że jego jedynym językiem jest efektywność, ale historia bezlitośnie pokazuje, że efektywność ta bywała osiągana przez prawną amputację podmiotowości.

Para i stal: XIX-wieczna konwergencja cen światowych

Dopiero tutaj XIX-wieczna rewolucja transportowa odsłania swoją właściwą rangę. Bernstein trafnie opisuje ją jako najbardziej radykalne spłaszczenie świata: stal, para, kolej, telegraf, chłodnictwo, kanały. Ten pakiet technologii to nie jest po prostu inżynieria; to przeprogramowanie ontologii rynku. Skoro w 1800 roku informacja i towar wlokły się z prędkością konia, a sto lat

później pędzą koleją, parowcem i natychmiastowym impulsem telegraficznym, to rodzi się nowa forma synchronizacji. Ceny zaczynają „wiedzieć" o sobie nawzajem. Konwergencja cen pszenicy czy mięsa, którą ilustruje Bernstein, jest tu najczystszym dowodem, że globalny rynek staje się faktem. Różnica w cenie przestaje być rentą z izolacji geograficznej, a staje się pochodną jakości, kosztów produkcji i logistyki.

Jednak ta rewolucja to nie tylko historia rosnącego dobrobytu; to także kronika politycznego wstrząsu. Gdy rolnik z Kansas zaczyna konkurować z rolnikiem z Pomorza, protekcjonizm przestaje być „błędem w doktrynie", a staje się egzystencjalnym odruchem obronnym. Skupione grupy interesu potrafią zorganizować się znacznie szybciej niż rozproszona masa konsumentów. W tym punkcie Bernstein spotyka Mancura Olsona, nawet jeśli nie wymienia go z nazwiska. Logika działań zbiorowych, czyli sztuka mobilizacji grup interesu, w praktyce okazuje się logiką asymetrii krzyku. I dlatego właśnie nowoczesne negocjacje handlowe, jak wspomniana w materiałach runda z Doha, tak często grzęzną. Redukcja tarcia w transporcie zrodziła nowe, potężne tarcie w polityce.

Punkty dławienia: wąskie gardła globalnej logistyki

I tu właśnie docieramy do współczesnych wyzwań, w obliczu których myśl Bernsteina, zwłaszcza po doświadczeniach ostatniej dekady, brzmi zaskakująco aktualnie. Wąskie gardła, zależność od paliw kopalnych, ryzyko klimatyczne, nierówności płacowe i niepewność zatrudnienia, wreszcie potrzeba sieci bezpieczeństwa jako warunek legitymizacji wolnego handlu – to już nie są tematy akademickich seminariów, lecz punkty w agendzie zarządów i komitetów ryzyka. Potwierdza to UNCTAD, wskazując w swoich analizach, że drogą morską transportuje się ponad 80 procent globalnego wolumenu towarów. Ta liczba to nie statystyczny ornament. To ostrzeżenie: globalizacja wciąż ma swoje materialne wąskie gardła, a te można zablokować nie tylko okrętem wojennym, lecz także suszą, wichurą, awarią infrastruktury czy jedną decyzją administracyjną.

Re-globalizacja: fragmentacja rynków i geopolityka

W tej samej epoce Międzynarodowy Fundusz Walutowy diagnozuje gospodarczą fragmentację – proces, w którym geopolityka zaczyna dyktować warunki, spychając na margines klasyczną logikę przewagi komparatywnej. Państwa i firmy przebudowują swoje sieci powiązań wzdłuż nowych linii frontu, a hasła odporności i bezpieczeństwa narodowego stają się ważniejsze od czystej efektywności. I tu trafiamy w sedno: współczesny biznes, sądząc po jego raportach i decyzjach inwestycyjnych, nie wierzy w „koniec globalizacji", lecz w jej głęboką mutację. Mniej wiary w jeden

idealnie zoptymalizowany łańcuch dostaw; więcej pragmatycznej dywersyfikacji, regionalizacji, cyfrowych obejść i „redukcji zależności" od pojedynczych partnerów. WTO ubiera tę intuicję w zgrabne pojęcie reglobalizacji, a analizy globalnych łańcuchów wartości potwierdzają, że ich skracanie i regionalna dywersyfikacja to dominujące wektory nowej fazy.

Nie wolno jednak dać się zwieść tej nowej mantrze „odporności", bo bywa ona jedynie alibi dla nowej formy renty. Skrajne stanowisko, które dziś zyskuje na sile w części kręgów biznesowych i politycznych, brzmi niemal jak manifest: „autonomia strategiczna" usprawiedliwia wszystko – trwałą protekcję, hojne subsydia i gospodarczą izolację. To propozycja tyleż kusząca, co niebezpieczna. Obiecuje iluzję kontroli, lecz grozi przekształceniem w trwały mechanizm rentierski, w którym koszty ponosi konsument, a zyski inkasuje garstka dobrze zorganizowanych branż. Nawet w dyskursie instytucji międzynarodowych pobrzmiewa ostrzeżenie, że agresywny reshoring, czyli ściąganie produkcji z powrotem do kraju, może generować ogromne straty dobrobytu. Co więcej, wcale nie musi realnie zwiększać odporności – zamiast ją budować, często jedynie przenosi ryzyko z zagranicy do własnej gospodarki. Ryzyko nie znika; po prostu zmienia paszport.

Legitymizacja społeczna: fundament wolnego handlu

Główną tezę Bernsteina o „sieci bezpieczeństwa" warto przenieść na grunt współczesnej debaty o nierównościach. Jej fundamentem jest logika twierdzenia Stolpera-Samuelsona, które pokazuje, że handel w krajach bogatych w kapitał ludzki premiuje wysoko wykwalifikowanych, a uderza w nisko wykwalifikowanych. Nawet jeśli nie prowadzi to wprost do bezrobocia, pogłębia społeczną niepewność i presję na płace w dolnej części drabiny dochodowej. Tę tezę doprecyzowały badania nad szokiem importowym i offshoringiem, a w debacie publicznej łączy się ona z rosnącą koncentracją bogactwa na szczycie. Ramy empiryczne są tu bezlitosne: nierówności dochodowe w USA rosną od lat siedemdziesiątych, napędzane zawrotnymi dochodami na samej górze. Nie chodzi tu o to, by z handlu uczynić jedynego winowajcę, lecz o odsłonięcie politycznego warunku przetrwania otwartości: jeśli przegrani nie otrzymują rekompensaty, wolny handel traci legitymację, a protekcjonizm powraca jako zjawisko masowe, a nie akademicka doktryna.

To pozwala sformułować – w stylu Bernsteina, lecz bez jego skłonności do gładkich narracji – tezę fundamentalną i prowokacyjną. Współczesna globalizacja nie upadnie, bo jest niemoralna, lecz dlatego, że jest krucha. A jest krucha, ponieważ zbyt długo projektowano ją jako system optymalizacji kosztów, a nie system zarządzania ryzykiem. Świat, który z dumą opisujemy jako „beztarciowy", okazuje się światem o wysokiej prędkości propagacji błędów. A system o wysokiej prędkości propagacji błędów nie potrzebuje kaznodziei, lecz inżyniera instytucjonalnego.

Protezy rozumu: instytucje stabilizujące handel

Jakie „instytucjonalne protezy rozumu” — profetyczne, a zarazem racjonalne — można tu zaproponować, nie osuwając się w utopię? Po pierwsze, należy wreszcie potraktować odporność łańcuchów dostaw jako dobro publiczne, a nie prywatny luksus pojedynczych firm. Implikuje to twarde standardy minimalnej redundancji, obowiązek ujawniania krytycznych zależności oraz wspólne mechanizmy reagowania na szoki w globalnych punktach dławienia. Po drugie, trzeba uznać, że polityka handlowa bez polityki pracy to konstrukcja samobójcza. Kompensacja strat nie może opierać się na retoryce „przebranżowienia”, lecz na stabilnych instytucjach, które zabezpieczają dochód, mobilność i godność pracy. Inaczej „rynek” będzie generował polityczny bunt szybciej, niż zdoła wytworzyć nowe kwalifikacje.

Po trzecie, należy precyzyjnie odróżnić protekcję strategiczną od protekcji rentierskiej. Pierwsza dotyczy realnych wąskich gardeł bezpieczeństwa państwa, druga jest zwykłą redystrybucją w stronę najlepiej zorganizowanych grup nacisku. Bez tego rozróżnienia każda „autonomia” szybko stanie się elegancką nazwą dla korupcji proceduralnej. Po czwarte wreszcie, globalizacja musi mieć wbudowany mechanizm selektywnej przepuszczalności. Chodzi o prawną i techniczną zdolność do oddzielania przepływów wysokiego ryzyka od tych, które są cywilizacyjnie niezbędne. W przeciwnym razie każda sieć będzie siecią totalną, a sieć totalna jest zawsze o krok od totalnej awarii.

Na koniec krótka anegdota z polemicznym ostrzem. Współczesny menedżer ryzyka z lubością mówi o „mapowaniu dostawców do trzeciego rzędu” i o „testach stresu łańcucha”. Jest w tym pewna ponura komedia późnej nowoczesności: po pięciu tysiącach lat handlu odkrywamy, że zależność od jednego korytarza jest niebezpieczna, że zaraza podróżuje szlakiem handlowym, że monopol to forma przemocy, a ludzką podmiotowość da się łatwo wcisnąć w rubrykę kosztu. Bernstein nie oferuje pocieszenia. Oferuje lustro. A to lustro mówi mniej więcej tak: globalizacja nie jest projektem moralnym, tylko instytucjonalnym. Jeśli instytucje są niedojrzałe, to handel — niczym krew w organizmie — będzie niósł zarówno tlen, jak i toksyny.

> Handel, od zarania dziejów, splata ze sobą dobrobyt i katastrofę, tworząc sieć, która łączy, ale i naraża. Czy w labiryncie globalnych powiązań zdołamy zbudować instytucje na tyle mądre, by okiełznać ryzyko, czy też staniemy się ofiarami własnej, skomplikowanej sieci zależności? Być może przyszłość handlu nie leży w nieograniczonej ekspansji, lecz w mądrej segmentacji i selektywnej przepuszczalności, które pozwolą nam oddzielić tlen od toksyn.

Inspiracje

[1] **"A splendid exchange"** William J. Bernstein

2008 | Atlantic Monthly Press/Atlantic Books/Grove Press

William J. Bernstein jest amerykańskim teoretykiem finansów, autorem i emerytowanym neurologiem. Znany jest z badań nad nowoczesną teorią portfela inwestycyjnego oraz książek o inwestowaniu i historii gospodarczej. Jest współzałożycielem Efficient Frontier Advisors.

William J. Bernstein *is an American financial theorist, author, and retired neurologist. He is known for his research in modern portfolio theory and books on investing and economic history. He co-founded Efficient Frontier Advisors.*

Efficient Frontier Advisors LLC

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: fb5b2fd5-8816-459e-b97f-3ca1bb48bbca